TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 23. *Chicago, Ills., 3 Grudnia, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Ojciec jego przed samym wymarszem naszym kilka razy do mnie przychodził, gorąco o to prosząc, aby jego syna nietylko jako starszy i komendant, ale jako brat wziął w opiekę co mu też chętnie obiecałem, bom młodego Aksamickiego lubił bardzo, jako przyzwoitego młodzieńca i dobrej applikacyi oficera. Jakoż nicby mu zarzucić nie było można, prócz jednej wady a raczej dziwactwa, na które, myślałem, że sam wiek dojrzalszy będzie mu skutecznem lekarstwem.

Był bowiem ten młody Aksamicki bardzo do jakowejś wiary w gusła i cudowne kombinacye skłonny, co nie z głupiego zabobonu szło, ale z bujnej fantazyi, którą mu jakiś Niemiec nauczyciel popsował, ciągle mu w ucho kładąc rozmaite dziwy o alchemii nibyto i magii. Tak mu tem młodą głowę zawrócił, że Aksamicki bywało ciągle nad księgami siedzi, a tygle jakoweś i rozmaite rurki nad ogniem smaży, bezustannie coś operując..

Jam to miał za dziecinną zabawkę, i nieraz

go też śmiechem i żartami zbywałem, że złoto warzy, a jak mistrz Twardowski stare baby w gładkie dzieweczki transmutować się uczy. Miał też Aksamicki nieraz za swoje, bo że to w owych czasach przeróżnych szarlatanów i szalbierzy, co magów i alchemików udawali, co niemiara było, a i po Warszawie mnogo się ich uwijało — więc go niejeden z nich dobrze podgolił na mieszku. Ale on na to nie zważał i z tej nauki korzystać nie chciał.

Owoż Aksamicki siedząc z nami w izbie „pod czterema wiatrami", oczu od tego nieznajomego kawalera nie odwracał, a patrzył w niego bez przerwy jak w tęczę. Gdy my sobie czynimy rozmaite domysły, co zacz może być ten człowiek, co z tą czarną gadającą poczwarą się wodzi, czemby się trudnił i z jakiego kraju pochodził, on nam powiada, żebyśmy nieznajomego tak lekce nie traktowali, a owszem z respektem a ostrożnie na niego patrzyli, albowiem pewną jest rzeczą, że to nie żadna pospolita jest osoba, i nie żaden człowiek jak my wszyscy, ale zapewne jakowyś magik i mistrz wszelakich tajemniczych scyencyj. Chciałem go jak zwykle żartem zbyć i śmiesznym konceptem jakim odwieść od takiego gadania, ale przyznać się muszę, że obecność tego dziwnego nieznanego człowieka jakoś mi wesołość odebrała, a nietylko mnie, ale i towarzyszom moim, którzy toż samo siedzieli cicho, ciągle ku kominowi to na kruka spoglądając.

Kiedy tak siedzimy, wpada nagle wachmistrz do izby i raport zdaje, że się jednemu z ludzi moich zdarzyło nieszczęście. Dragon jeden jadąc poić konia swego, miał taki wypadek, że koń spłoszywszy się, zrzucił go na ziemię, a tak nieszczęśliwie, że żołnierz uderzywszy głową o kamień, bez znaku życia pozostał. Przykra nam była ta wiadomość bardzo, i porwaliśmy się wszyscy od stołu, a tu na nieszczęście własnego felczera z sobą nie mieliśmy.

— Czy zabity na śmierć? — pytam wachmistrza.

— Zdaje się, Mości rotmistrzu — odpowiada — już martwy, bo już tam ani śladu tchu w nim nie ma!

— Gdzież jest? — wołam.

— Przynieśliśmy go tu do gospody i w stajni położyli na słomie.

— Nieścież go tu zaraz! — rozkazałem — a ty biegnij co żywo do miasta i felczera mi szukaj!

Wachmistrz wybiegł a ja też za nim, aby owego biedaka do izby gospodniej czem prędzej przynieść. Wniesiono go bez oznaki życia martwego, jeno zgłowy zwolna płynęła jeszcze krew, krzepnąc natychmiast. Miałem małą praktykę wtem, jak przy gwałtownych ranach pierwszy ratunek dawać, bom się był tego na wojnie przyuczył — wołam tedy o wodę, nadzieję mając, że to nie śmierć jeszcze, a tylko martwość omdlenia. Na ten hałas odwrócił się od komina ów nieznajomy, a ujrzawszy co się stało, przybiegł ku choremu, nas wszystkich z lekka odsuwając, i ozwał się po łacinie:

— Mnie go zostawcie; temu żołnierzowi nic nie będzie.

Ustąpiliśmy na bok, patrząc na nieznajomego, który świecę przy głowach rannego postawiwszy, nad nią się nachylił. Przypatrzyłem mu się teraz bliżej i bardzo mnie to zdziwiło, że twarz tego człowieka wydała mi się na chwilę bardzo starą, i że w fizyognomii jego leżała jakaś dziwna zgrzybiałość wieku. Przetarłem oczy, bom go przecież przed chwilą młodego widział, i co najwięcej trzydzieści lat byłbym mu pisał — i owo przekonałem się, że twarz nieznajomego zmieniła się w niepojęty mi sposób, i że choć gładka a młoda była naprawdę, przecież od chwili do chwili zgrzybiałość starca przypominała.

Nieznajomy chwilkę w martwego żołnierza się patrzył, skronie mu z lekka obmacał, wodą zimną twarz mu obmył, a potem wydobył z kieszeni flaszeczkę z płynem jakimś. Była to flaszeczka wąziutka a malutka, jak mały palec, a znajdowało się w niej fluidum takowej gorącej a żywej barwy czerwonej, jakiej mi się nigdy oglądać nie przytrafiło. Z tej małej flaszczyny puścił on kilka kropli do ust dragona, wpierw mu zęby ściśnięte gwałtownie otworzywszy, a potem odstąpił na boki i rzekł:

— Jutro pomaszeruje dalej, albowiem zdrów już jest.

Nie bardzom tym słowom dowierzał, za szarlatańską przechwałkę je mając, więc zbliżyłem się znowu do biednego dragona, a ukląkłszy, przypatrywać mu się począłem, ażali jakie znaki życia daje. Ale oto ku zdziwieniu memu i radości widzę, że żołnierz lekko a spokojnie oddychać poczyna, że oczy otwiera i patrzy.

— Kurowski! — wołam, bo tak się ów pocztowy nazywał — a jak tobie?

— Dobrze, Mości rotmistrzu! — odezwał się dragon głosem silnym, i chciał się przez respekt a subordynacyę podnieść nawet na nogi, tak że go siłą przytrzymać musiałem.

Tymczasem nieznajomy podróżny dobywszy dwa puzderka, z których jedno białe z kości słoniowej, a drugie czarne jakoby z hebanu najprzedniejszego było, oba otworzył i prędko jakąś kunsztowną a misterną lampkę zapalił, z której choć malutka bardzo, zaraz okrutnie duży a żywy płomień niebieski buchnął. Tak zaczął jakieś ingredyencye z przeróżnych puszek dobywać i w drobnym tygielku to grzać a smarzyć, i za pół godziny już maści nagotował. Kiedy on to przy tym niebieskawej barwy płomieniu mięszał i warzył, takowa się jakaś wdzięczna a luba wonność rozlała, jakoby wszystkie kwiaty i aromata, wszystkie sabejskie zapachy na delektament nasz tu do izby spłynęły.

Kiedy już maść była gotowa, nieznajomy kawaler posmarował nią jedwabną szmatę i przyłożył ją dragonowi na ranę. Gdy już operacya ta była skończoną, ranny żołnierz przy pomocy swoich kamratów wyszedł z izby, aby się położyć i wyspać po takiej ciężkiej przygodzie. Nigdym ja się nie spodziewał, aby ten biedak po takowem srogiem stłuczeniu tak rychło się opamiętał, to też i ja patrzyłem już teraz na czarnego podróżnego jako na mistrza sztuki lekarskiej. Aksamicki zaś to już rady sobie znaleźć nie mógł, ale przystąpiwszy do mnie, szepce:

— A co, nie powiadałem Waćpanu, że to musi być magister tajemnej, magicznej sztuki? Czyż nie widziałeś Waćpan istnego cudu?

— Cud jak cud — mówię mu na to — tak gdzieś w karczmie przy drodze cuda się nie zdarzają. Ale że zręczny jest felczer, to przyznaję. Cały sekret, że to jakiś medyk Włoch lub Niemiec, może p. wojewody Potockiego z Krystynopola, ale czemubyś go Waćpan nie chciał mieć za zwykłego człowieka, tego ja nie rozumię. Zręczność to nie żadne *miraculum*, a zresztą, co wiedzieć, czy ten dragon i bez jego pomocy nie byłby przyszedł do siebie, bo snać ogłuszony był tylko a nie rozbity.

On na to ramionami tylko ruszył i umilkł, a ja tymczasem przystąpiłem do nieznajomego i pytam go po niemiecku, czy tym językiem mówi, bom francuzkiego nie znał, a w łacinie nie byłem bardzo biegły. Odpowiedział mi na to dość płynnie po niemiecku, ale akcentem jakimś dziwnym. Wtedy ja mu mówię:

— Mam honor Waćpanu prezentować się jako Narwój, rotmistrz chorągwi, do której ów człowiek należy, i za miły obowiązek poczytuję to sobie, podziękować Waćpanu za ową prawie cudowną pomoc, którą żołnierzowi mojemu dałeś.

Nieznajomy z lekka kapelusza uchylił, i tak odpowiedział:

— A ja jestem Conte Zapatan, i choć rad jestem, że komuś w przygodzie pożytecznym być mogę, to znowu nierad jestem, że mi za taką bagatelkę dziękują. Nie Waćpan mnie, ale ja tej małej przygodzie wdzięcznym będę, jeżeli mi ona da sposobność spędzenia tego wieczora w gronie Waszmościów, moi panowie oficerowie.

I tu się nam wszystkim dokoła ukłonił, a wtej chwili i ów szpetny towarzysz jego, kruk duży, w skokach ku nam przybieżał, a na stół podleciawszy, śmiać się począł śmiechem okrutnym a zgrzytliwym, wołając:

— Arrabet! Arrabet! Zapatan!

Podróżny uderzył szpadą po głowie ptaka, aż trzasło, i mówił dalej:

— Widzę, że Waćpanowie odwagi swej żołnierskiej na tutejszem winie próbujecie: czy pozwolicie, abym się w wasze towarzystwo butelką własnego wina intromitował, bo wiozę je z sobą w mojej podróżnej karecie, a trochę lepsze jest niż owo na stole!

Nim my na to odpowiedzieć mogli, Zapatan dobył z kieszeni malutką srebrną piszczałkę i świsnął. Mało nam uszy nie porozdzierał, taki ten świst był okrutny, aż szyby w karczmie zabrzęczały. Na ten znak wbiegł zaraz do izby mały garbaty karzełek z włosem kędzierzawym a czarnym jak baranie runo, ubrany w kurcie płomienistej barwy. Zapatan rzekł mu coś w języku, którego z nas żaden nie rozumiał, i za chwil kilka stanęło na stole kilka flaszek wina.

Chociaż ten nieznajomy dziwny człowiek pokazywał się grzecznym kawalerem, i bardzo kształtnie do nas przemawiał, przecież jakowyś nieprzeparty wstręt do niego czułem, i chętniebym był z jego towarzystwa się wyprosił, ale obrazić go nie chciałem. On w mgnieniu oka wina nam ponalewał do szklanek, i grzecznie pić prosił. Nie byłem nigdy wielkim amatorem trunków, i nie tęgi też znawca win ze mnie by-

wał, ale to powiedzieć mogę, żem w całem życiu mojem, ani przedtem ani nigdy potem wina tak wdzięcznego a szlachetnego smaku nie pił. Był to jakoby kordyał jakiś przedziwny, nietylko w krew, ale do duszy i serca idący, niby to słodki a łagodny, choćby na języczek panieński, a owo taki ognisty zarazem, że mi się wyraźnie zdało, jakobym dwa razy więcej krwi miał w sobie....

Ledwośmy jeden kielich wychylili, a już nam dziwna radość po sercach grała, i takowa wesołość w duszy się rodziła, że owej ochoty, a buty, a zuchwalej jakowejś fantazyi żaden z nas pohamować nie mógł. Mój najmłodszy porucznik, ale najstarszy wiekiem z nas wszystkich, bo już szpak był tęgi, niejaki Zawejda, najpierw począł to wino wychwalać, bo bibosz był zawołany i znawca takoż niezwyczajny.

— Oto mi wino! — zawołał — jakie i monarchowie chyba na wielkie święto pijają! Przelałem ja przez gardło niejeden haust smakowity a nie ma wina, któregobym nie pijał. U JP. kasztelana Zawichostskiego pijałem jeszcze małmazyę odwieczną, a kiedym był w Krakowie, poznałem się z węgrzynem najszlachetniejszym, z winem, co było *Hungariae natum. Cracoviae educatum*; u księcia ordynata Ostrogskiego, kiedym był w jego milicyi, pijałem najzacniejsze francuzkie wina, tu na Rusi p. wojewoda Cetner nowomodnym szampanem raz mnie był poczęstował, ale to Mości Panie wszystko furda! Za nic wszelakie pontagi, muszkatele, monasbergi, refoski, *Lacrymae Christi*...

Na to ostatnie słowo Zapatan nagle się zakrztusił i tak srodze kaszlać począł, że aż Zawejda przerwać oracyę musiał. Dopiero po chwili mógł kontynuować swoją perorę.

— *Ecce vinum*, Mospanie! — wołał Zawejda dalej — nektar *incomparabili*, który serce, grzeje, duszę wypogadza, rozum szlufuje, wzrok ostrzy, a starce w młodzieńce przywraca: *ecce vinum*, do którego to napisano ów *carmen:*

Vinum dulce,
Cor permulce!
Non te bibunt mali Turcae,
Sed tota Christianitas!

W tejże chwili, wyraźnie jakoby na słowo *Christianitas*, Zapatan znowu tak okropnie kaszlać począł, tak głośno a tak przenikliwie, żeśmy się wszyscy ku niemu z przestrachem zwrócili. Był ten kaszel taki szpetny i nieludzki, że mi się zdało, jakoby się w nim odzywało i psie szczekanie i wołanie puszczyka, i gwizdanie wichru w kominie i rzegotanie żabie, a przytem oczy nieznajomego taką straszliwość przybierały, a tak się z twarzy pchały naprzód, że zdawało się, jako lada chwilę na stół wyskoczą. Na toż i kruk sobie jak pocznie wrzeszczeć a przedrzeźniać się: „Aratran! Metatran! Arrabet!" — owo istny tumult piekielny.

— Zakrztusiłem się — ozwał się Zapatan, rzucając na kruka próżną butelkę, aż się w drobne pryski rozsypała z brzękiem okrutnym — to nic, Mościpanowie, zakrztusiłem się tylko! Ale kiedy Waćpanu smakuje to wino, czemu go nie pijesz? — dodał do Zawejdy i począł dolewać nam wszystkim.

Nie trzeba nas było prosić; piliśmy dalej to przedziwne wino, a za chwilę ogarnęła nas wszystkich taka szalona wesołość, że nuż wszyscy razem rozprawiać, nuż śmiać się, nuż się ściskać, a wołać i przeróżnie wyśpiewywać poczniemy. Co się zaś potem działo, już dobrze nie pomnę, a tylko jak przez sen mi się o tem coś marzy. Zdało mi się, jakoby jakowaś cudowna postać spłynęła na izbę, jakobym ja sam w gorejącą, przejrzystą zmienił się postać, i jakoby gdzieś niewidzialne skrzypki i nieludzkie muzykanty wywodziły prześliczną muzykę, pełną słodkości... Potem mi się nagle ciemno zrobiło, a gdy począłem przecierać oczy, już się nawet świeczki w gospodzie nie paliły, a jeno żar z komina pobłyskiwał, ale widziałem naprzeciw siebie Zapatana, i zdało mi się, że jego oczy bardziej jeszcze gorzeją niż łuczywo. Na dworze wicher okropny wył i huczał, o szyby karczmy bijąc, gonty zrywając i w kominie grając...

Usłyszałem potem, jak drzwi od izby rozwarły i zamknęły się ze strasznym łoskotem i trzaskiem — i już odtąd nie wiem co się ze mną działo. Świtało już na dworze, kiedym się ocknął ze snu twardego. Przespałem całą noc siedząc z głową opartą na rękach, a i moich towarzyszy w tej samej pozyturze jeszcze śpiących zastałem. Czułem ciężar w głowie i w członkach wszystkich, i zdało mi się, jakoby ołów mi ciężył we wszystkich kościach. Stała w izbie konew z wodą, tę wziąwszy, mundur zdjąłem, i całą ją na siebie wylałem, a tak orzeźwiłem się nieco. Jąłem tedy budzić moich towarzyszy, co mi dużo srogiej pracy kosztowało, albowiem

spali snem tak twardym a głębokim, że choć strzelaj z armaty...

Pobudzili się wreszcie — a ja ich naglić począłem, bo już tej samej chwili usłyszałem trąbkę i taraban mojego szwadronu, który ze swych kwater się ściągał i przed karczmą szykował. Markotny byłem i zły bardzo na siebie samego, żem się do tego wina namówił i upoić się dał — co mi się w życiu bardzo rzadko, a na marszu i w służbie przenigdy nie zdarzało. Ale i dziw mi był przytem, że jak wyraźnie pamiętam, jeno trzy małe kieliszki tego trunku wychyliłem, i że tak nie przebrawszy nawet miary, przytomność postradałem. Srogi mnie też wstyd zbierał, gdym pomyślał, że żołnierze nas oficerów pijanych a krzykających widzieć może i słyszeć mogli wczorajszego wieczora, a zwłaszcza mnie, który sam zawsze trzeźwy będąc, w trzeźwości żołnierzy moich trzymałem.

Owego zaś Zapatana ani śladu nie było. Pytałem się żyda, kiedy pojechał, ale ani on, ani stróż nie widzieli go odjeżdżającego, a tylko jeden z żołnierzy moich, co miał straż o północy, opowiadał, jako widział karetę dużą, czterema końmi uprzągniętą, która w niesłychanym pędzie odjechała drogą do Żółkwi. Nie było czasu nad tem myśleć, bo już i czas był apelu słuchać i w drogę ruszać. Mieliśmy tego dnia większy marsz zrobić, Żółkiew minąć, a w Kulikowie nocować, aby chorągiew z ostatniej stacyi już miała bliżej do Lwowa i mogła do miasta wejść w dobrym i żwawym stanie, uczciwie się prezentując starszeństwu i populacyi.

Wyjechawszy już z Rawy, milczeliśmy w drodze, i żaden z oficerów pierwszy przemówić jakby nie chciał czy nie śmiał, bo wszystkim markotno i kwaśno było. Ale Zawejda, że był wielki zawsze gadatywus, nie mógł długo utrzymać języka w gębie, i ozwał się do nas:

— Panowie bracia, trzeba nam będzie chyba we Lwowie stanąwszy do spowiedzi iść, rekolekcye u Bernardynów odprawić, a duszę ratować.....

— Zkądże ci to przyszło tak nagle? — zapytałem go.

— Ano, rotmistrzu, nie bez racyi to mówię — odpowiedział Zawejda z frasunkiem — tośmy przecież wczoraj z samym djabłem Jego Mością wino pili!

Zaśmiałem się na to, bo Zawejda mówił to z miną bardzo frasobliwą, z szczerym smutkiem i z zupełną konwikcyą.

— Śmiej się ty rotmistrzu albo nie — rzecze na to porucznik — i tego mi nie bierz za obrazę, ale Waszmość się na tem nie znasz, boś w życiu swojem może nigdy nie był pijanym, to i myślisz, żeśmy się wczoraj tylko upili, a nic więcej. Owo ja ci powiadam, że nie. Daj mi Boże tyle dukatów dzisiaj, ile razy ja byłem pijany w służbie księcia ordynata Ostrogskiego, który jako ci wiadomo i sam lubił pijać i drugim pozwalał, ale takiegom ja wina jeszcze nie widział, ani nie pił, anim nawet o niem nie słyszał, coby takiego jak ja Barabasza trzema naparstkami z nóg zwaliło, a w takowy stan dziwny upojenia wprowadzało. A com za dziwy okrutne w tym bezprzytomnym stanie oczyma mojemi oglądał, tego już i wspominać nie chcę, aby w złą godzinę nie trafić. Tak ja wam raz jeszcze powiadam, żeśmy wczoraj chyba z samym Lucyferem Jego Moścą pili w owej karczmie, bo jeśli to wszystko po ludzku było, to ja nie Zacharyasz Łada Zawejda i nie oficer jestem, ale Błażej się zowię i szewc jestem z Kozienic!

Przez całą drogę do Kulikowa nie umikł Zawejda, ale ustawnie dziwy nam wywodził i na nieznajomego czarnego kawalera srodze się przegrażał.

— Już ja teraz wierzę — mówił do nas — co Aksamicki mówi, że to jest co najmniej charakternik, co nieczyste sztuki płata. To wino jego, chociaż tak dziwnie smakowite, to jakiś trunek był w szatańskiej aptece warzony a destylowany, bo gdzież by to inaczej być mogło, abym pamięć stracił, ledwie język suchy trochę pomaczawszy? Nie, jakem Zacharyasz Łada Zawejda, oficer Jego królewskiej Mości, mów co chcesz rotmistrzu, ale Aksamicki ma racyę. Bo ano bywało, kiedy człek trochę miarę przebrał, to uczciwe sny miewał, ale nie takie jakieś niesłychane dziwadła. Jeźli to było po dobrem winie, to mi się regularnie zdawało zawsze, żem był królewiczem szwedzkim, jeźli po lepszem jeszcze, tom przez dwie godziny pewien tego bywał, że jestem Hetmanem Wielkim Koronnym. Jeśli zaś cieńkosz był nieuczciwy, to mi się śniło wtedy, żem jest kalefaktorem w szkole u OO. Jezuitów i w grubie paląc dmucham, a ognia się dodmuchać nie mogę — a to już utrapienie było wielkie i kara sprawiedliwa za to, żem n

a

lichy trunek się skusił. Prawda pamiętam, kiedym był w częstochowskiej milicyi, OO. Paulini raz nam oficerom antał młodego słodkiego wina darowali — niech im tam Pan Bóg tego nie pamięta! — takie ono było wino, jak ja patryarcha wenecki! Owoż ten cieńkosz niepoczciwy, ta okrajkowa płukanina, ten drybus ostatni — bodajby go szewcy Kozienickie piły! — tak mi szpetnie łeb zakręcił, że mi się owo zdało, jakobym się w duży pęcherz wydęty zamienił, a jakiś cyrulik, malutki Niemczyk, z okrutnie dużem szydłem koło mnie tańczył, a przekłuć chciał koniecznie. Ja go proszę by mi dał pokój, grożę, klnę, uciekam, a on ciągle z owem strasznem szydłem koło mnie biega, a woła: „Mospan Polak, *ukłucz musim!*" I już mnie niecnota szydłem swem dopadał, kiedym się z okrutnym krzykiem obudził, cały potem oblany i z głową rozgorzałą. Owoż odtąd boję się młodego drybusa jak grzechu śmiertelnego, a wolę już nawet piwsko otwockie!

My na to gadanie w śmiech serdeczny, że aż za boki się braliśmy, a Zawejda ciągle dalej perorował.

— Jakem Zacharyasz Łada Zawejda, tak wam powiadam, że tu śmiać się nie ma z czego! Ja tam najczęściej snów żadnych nie miewam, chyba, jak powiadam, po kilku kielichach wieczornych, ale zawsze choć nie jestem żaden statysta ani uczony, wiem przecie, co się poczciwemu szlachcicowi śnić powinno, a co nie. Panienka po marcypanie albo po migdałkach więcej wina dla konkokcyi wypije, niźlim ja wypił z łaski tego Łapatana, Czapatana czy Zapatana, a owo najpewniej aktualnego szatana — a co mi się za niesłychane dziwy marzyły! Tfu! *Apage*!.... Owo najpierw zdało mi się, żem jest monarchą chińskim, i w żółtym stolcu siedzę, a tu mój minister do mnie idzie z okropnym papierem, jakiemiś straszliwemi charaktery zapisanym, i coś mi długo przez nos czyta. Wtedy mi się nagle przypomina, że ja tego błazna słuchać nie mam potrzeby, i nuż go trzepnę po czuprynie, a owo mój minister Chińczyk rozpada się w tysiąc takich samych Chińczyków, i każdy mi znowu coś czyta, a wszyscy przez nos. Nie wiem jak i kiedy i z jakowej racyi zmieniam się w baszę Chocimskiego, i widzę, jak przedemną jakoweś blandyny tańce wywodzą przy dźwięcznych cymbałach i słodkiem fujarowem brzmieniu; *item* przerzucam się w gwoźdź żelazny, a ktoś mnie młotem wali po czuprynie, w ścianę kamienną wsadzając; *item* w trąbę okrutną; *item* w jakiegoś czubatego ptaka, i tak ciągle i ciągle, aż w końcu zmieniłem się w kaganiec olejny palący się, a przy tym kagańcu, to jest przy mnie, Zacharyaszu Zawejdzie, jakowaś sroga baba, widocznie czarownica, z krzywym i długim nosem, jak szabla janczarska, przez okulary okrutne coś czytała z dużej czarnej księgi, a ciągle na mnie straszliwem okiem patrzyła pięścią grożąc, że ciemno świecę, a ja tu ani rusz jaśniej palić się nie mogę, choćbym chciał bardzo ze strachu przed tą wiedźmą. Ona co chwila gnotek w kagańcu podsuwa, co mi tak się zdawało, jakoby mnie kto dużemi obcęgi nos szczypał — i tak czyta i czyta, a ja się palę i palę, aż nareszcie owa straszna baba księgę zamknęła i dmuch!! zdmuchnęła mnie od razu. Zgasłem, i już ciemno było, a ja o sobie nic więcej nie pamiętam. Tfu! tfu! Jakem Zacharyasz Łada Zawejda, to przeklęty charakternik!

My znowu w śmiech okrutny, aż na grzywach końskich się kładziemy, i tak cały nam marsz zeszedł na śmiesznych naracyach Zawejdy, który Bóg wie kędy nie bywał, i przeróżne fraszki i dykteryjki *jocose* opowiadać umiał.

W Kulikowie znowu nocleg mieliśmy, a raniutko ruszyliśmy ku Lwowu. Kazałem przedtem całej chorągwi chędogo i uczciwie się ubrać, kapelusze z galonkami nasadzić, kolety oczyścić, ledewerki od flintpasa aż do karwasza wybielić pięknie, sztylpy na jasny połysk wypolerować, wąsy galantownie wykręcić i uszwarcować; my zaś sami oficerowie paradne kolety przywdzialiśmy, szarfy, bandolety i felcechy złociste przepasali, aby to *honeste* było dla szwadronu, uprosiłem sobie był z Warszawy trochę więcej „szafranu", to jest fajfrów, trębaczów i pałkierów, bo musicie wiedzieć, że gdy takowe grajki regimentowe miały na sobie mundur osobny żółtego jakoby szafran koloru, więc tedy z tej racyi szafranem ich żartownie zwano.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

———

GAWĘDZIARZ.

TURECKI SOWIZRZAŁ.

Turcy mają także swojego Sowizrzała, któremu nadali poważną nazwę mistrza Nareddina. Oto niektóre z jego figlów:

Pewnego dnia był on świadkiem, jak złodziej uprzątał wszystko w jego domu. Nie przeszkadzał mu bynajmniej, lecz zabrał resztę i poszedł za złodziejem do jego pomieszkania. — Czego tu chcesz, mistrzu? — spytał złodziej. — Jakto? — odrzekł Nareddin — alboż nie przeprowadziliśmy się do tego domu?

Kruk ukradł pewnej kobiecie kawał mydła. Kazano mu go ścigać, ale Nareddin odrzekł: Dajcie mu pokój, on z pewnością potrzebuje bardziej mydła, niż my.

Będąc wielkim miłośnikiem owoców, zakradał on się często do ogrodu swego sąsiada. Ażeby dostać się tam przez wysoki mur używał do tego długiej drabiny, którą spuszczał potem na drugą stronę i tym sposobem wygodnie złaził. Pewnego dnia złapał go ogrodnik. — Cóż ty robisz w moim ogrodzie, mistrzu Nareddinie? — Chcę sprzedać tę drabinę. — A czemuż nie wchodzisz drzwiami? — Bo chciałem ci pokazać, jak użyteczną jest drabina. — Tak! mruknął ogrodnik. i kupił drabinę. Nazajutrz był mistrz znowu w ogrodzie i zrywał z przygiętej gałęzi jabłoni najpiekniejsze owoce do worka. Nagle uderzył go sąsiad po ramieniu. — He, mistrzu, jesteś znów w moim ogrodzie! Jakże dostałeś się tu bez drabiny? — To istotnie rzecz dziwna, odrzekł mistrz, ale słuchajno, jak wicher huczy; on porwał mię w powietrze i przerzucił tutaj. — A cóż robi w twej ręce ta gałąź jabłoni? — Muszę się trzymać, by mię znów wicher nie porwał. — Doprawdy? A zkądże się wzięły jabłka w twoim worku? — I ogrodnik spoglądał na mistrza, a mistrz na ogrodnika. — Widzisz — rzekł wreszcie Nareddin — to właśnie rzecz najdziwniejsza, i gdyś nadchodził, rozmyślałem również nad tem. — Po raz trzeci zastał go sąsiad na jabłoni, ale znowu rozbroił gniew jego figlem, który jednak nie da się opowiedzieć.

Pewien znajomy chciał pożyczyć od niego osła. Mistrz rzekł, że osła nie ma w domu; ale w tej samej chwili zaryczał w stajni długouchy. — Jak to? — odezwał się znajomy, — mówisz, że osła nie ma w domu, a on ryczy w stajni? — Nareddin odpowiedział: Zaprawdę szczególniejszy człowiek z ciebie! Osłowi wierzysz, a mnie, sędziwemu starcowi, nie chcesz wierzyć.

MĄDRY MACIUS.

Pomiędzy chłopcami jednej z klas niższych, których zwykle przez szykanę nazywano parwusami, pamiętam jak dzisiaj, znajdowało się trzech wielkich chłopców: Jacuś, Wacuś i Maciuś, w zgodnym tryumwiracie noszących tytuł osiołków. Bo tez nieraz w swej błogiej naiwności z takim mimo wiedzy wystąpili dowcipem, że nietylko cała klasa nagłym jak wystrzał wybuchała śmiechem, ale nawet sami profesorowie powstrzymać chętki do śmiania nie mogli i nieradzi wtórzyli chichotem rozweselonej gromadzie malców.

Raz na parę godzin przed egzaminem, tj. przed przyjściem zwiedzającego szkołę wizytatora, zacny ksiądz prefekt, nakładłszy w uszy co się tylko zmieściło, namustrowawszy się na wszystkie boki, żeby popis poszedł chwacko, a pragnąc by i te osiołki z czemkolwiek się popisali, naznaczył im pytania i rzekł:

— Pamiętaj Wacusiu, że jak się spytam, kto cię stworzył? odpowiesz prędko: Bóg Ojciec! Ty Maciusiu, na pytanie, kto cię odkupił? odpowiesz: Jezus Chrystus! Ty zaś ostatni Jacusiu, pamiętaj, że ciebie Duch święty poświęcił.

Chłopcy przełknęli, zarumienili się od obciężenia pamięci, w cichym szepcie zaczęli powtarzać przeznaczone dla nich odpowiedzi.... wtem wszedł wizytator, i razem ze zwierzchnością szkólną zasiadł przed dużym stołem, który był okryty suknem.

Nauka religii rozpoczęła popis. Sypnęły się więc zapytania, odpowiedzi jak grad leciały, my rośli, jak baby na drożdżach, ksiądz prefekt się uśmiechał, aż wreszcie przybliżył się do Maciusia, i rzekł:

— Kto cię stworzył?

Maciuś zerwał się, zaczerwienił, pomyślał trochę i wskazując na Wacusia, i rzekł:

— Proszę księdza prefekta, to Wacusia stworzył, a mnie odkupił.

Gdy rzecz wyjaśnioną została, łatwo się domyśleć, co się dalej działo; urzędowa powaga zniknęła, od śmiechu zatrzęsły się brzuchy, a my sobie tak pozwolili, że rzecz cała o mało nie skończyła się tragicznie.... w referacie stróżowym na pniaku.

DEMOKRATA W KŁOPOTACH.

Pan N., młody kandydat adwokacki, jest zaciętym demokratą. Niejednokrotnie już wyznał to publicznie wśród rzęsistych oklasków galeryi. Jakiemi zaś drogami dostały się jego demokratyczne stopy na salony hrabiny Z., historya to nam dopiero wyjaśni. Wiadomo wprawdzie powszechnie, że hrabianka Z. oprócz dziewięciopałeczkowej korony posiada parę płomiennych szafirów, jak i to, że nawet młody demokrata mieć może łatwo zapalne serce; o ile jednak notoryczne prawdy te stoją w związku z ślizganiem się butów pana N. po gładkiej posadzce salonu hrabiny Z., pozostanie zapewne długo jeszcze tejemnicą. Zamierzamy tutaj tylko przypomnieć głośną zresztą w swoim czasie historyę o próbie, na jaką pana N. naraziły te jego demokratyczne buty.

Jest godzina 9 z rana — dla pana N. pora udania się do bióra, po poprzedniem jeszcze wstąpieniu na kawę. Od godziny nie śpi nasz demokrata, łając w duchu współobywatela Wojciecha, służącego, że nie przychodzi wyczyścić butów. Czas uchodzi, — ba! wkrótce termin w sądzie; nie ma rady, trzeba samemu wziąść się do butów, gdyż o ileby dżentelmenowi ubliżył pył zeszłodniowy na nich, o tyle demokracie nic nie ubliży ich wyczyszczenie. Raz — dwa otóż czysty już jeden — dalejże drugi na rękę, obnażoną po łokieć. Pokazuje się, że sztuka twoja, Wojciechu, nie jest tak niedostępną.... A! otóż i Wojciech — to jego chód słychać na schodach: -— Wojciechu!.... A niechże cię! to lokaj hrabiny Z.!

Sytuacya młodego demokraty jest prawie okropną. Zdradzić się przed fagasem, że sam sobie buty czyści, ażeby rozgłosił to, i złośliwa hrabina i sztywna hrabianka dowiedziały się.... ha, lepiej umrzeć! — W mig ręce, z butem jedna a ze szczotką druga, schroniły się za osobę która wychylona ku wchodzącemu mówi:

— Bilet od hrabiny? Poznaje z daleka pismo. Dajże, albo lepiej połóż na łóżko — i uciekaj — uciekaj — bo chory jestem, mam napad — bywaj zdrów!

Lokaj odszedł, zdziwiony zapewne niemało dziwnym znalezieniem się pana — lecz ten długo jeszcze ochłonąć nie mógł z ambarasu, w jaki go wprowadziła demokratyczna chęć wyręczenia Wojciecha, i podobno dnia tego nie pokazał swych pysznie lśniących butów posadzce salon hrabiny Z., dokąd zapraszał go bilet.

WYBORNA RADA.

Dwie siostry leżały w jednym pokoju i miały zupełnie równe dzieci, tak iż ich niepodobna było od siebie rozróżnić, zwłaszcza, że zupełnie je równo ubierały. Naraz powstaje hałas niezmierny. Ojciec wpada z drugiego pokoju i pyta się, co się stało? Obiedwie siostry ledwo od łez te słów kilka wyrzec zdołały: Ach, mój kochany ojcze, nieszczęście wielkie! piastunki dzieci przemieniły, tak iż teraz żadna z nas nie wie, które dziecko jest moje, a które siostry. — Uspokójcie się, moje córki kochane, odrzekł strapiony ojciec.... Powiedzcie mi tylko czy wiecie z pewnością, iż piastunki przemieniły dzieci? — wiemy z pewnością, zawołały obiedwie zapłakane siostry. — Na to, moje córki kochane, najlepsza jest ta rada — zawyrokował ojciec —niech piastunki znowu odmienią dzieci, a każda z was z pewnością swoje odzyska

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

W tem przekonaniu udała się do mieszkania starej ochmistrzyni, gdzie mistress Jarmy, piwniczy Nicholls i kilku innych domowników rozprawiali o całem zdarzeniu.

Pominiemy milczeniem powitanie obojga narzeczonych. Takie sceny serce tkliwe wyobrażać sobie może, lecz pióro najwymowniejsze opisać nie zdoła. Ci co widzieli już mogiłę otwartą, mającą pochłonąć ukochaną istotę, którzy ujrzeli niespodziewany powrót osoby, której zgon już opłakiwali, mogą jedynie pojąć radość Elleny. Podobnie jak fale wzburzone uspakajają się zwolna, gdy ucichnie powiew wichru, który je podnosił, tak wzruszenie sieroty uśmierzało się powoli. Może to szczęściem było dla niej, że to nagłe przejście z rozpaczy do uniesienia radości było zmięszane z żalem, jaki w niej rana młodego Indyanina wzbudziła; nie mogła go nienawidzić, mimo męczarni, jaką jej był zadał. Wszak on dzielił jej zabawy lat dziecięcych, ona zachowała zawsze dla niego tkliwą, serdeczną przyjaźń siostry. Było to dla niej największem nieszczęściem, że on ją kochał nie jako brat, ale jak namiętny kochanek.

— Teraz opuść mnie Henryku! — rzekła, gdy już sobie wszystko opowiedzieli, co ich młode serca miały do powierzenia. — Inne jeszcze osoby, nie mieszkające w zamku, mają prawo do twego przywiązania: twój stary, poczciwy stryj i jego zacna żona. Czas też, — dodała zapłoniona, — abym się już poznała z tymi, co byli twymi najżyczliwszymi opiekunami i przyjaciołmi od najmłodszego wieku twego. Trwoga, którą wycierpiałam, daje mi wyobrażenie o ich niespokojności. Nie zwlekaj dłużej z uspokojeniem ich...

Chociaż jej kochanek uznawał zupełnie słuszność jej przedstawień, jednak wiele jeszcze upłynęło czasu, nim zdołał z nią się rozstać. Nigdy mu się Ellena nie wydawała tak piękną, miłą i dobrą jak w tej chwili, kiedy wśród własnego uszczęśliwienia, przypomniała sobie tęsknotę starych dzierżawców, i nagliła na niego, aby ich strapieniu koniec położył. Szczęśliwy młodzian mógł zresztą wytłumaczyć swoje opóźnienie; wiedział że Joe Beans już ich uwiadomił o skutkach pojedynku.

— Bywaj zdrowa! — rzekł nakoniec, zabierając się po raz trzeci do odejścia. — Po przetrwaniu tak ciężkiej próby, rozłączenie zdaje mi się boleśniejszem, niż kiedykolwiek przedtem; ale wszak noszę twój obraz w sercu mojem, to mnie pocieszyć powinno!...

Henryk pożegnał sir Williama i odjechał na folwark z Walterem, który go chciał odprowadzić.

Przyjechawszy do dworku, nasi młodzi przyjaciele zastali sędziwych małżonków w najgłębszej rozpaczy pogrążonych. Wiedzieli wprawdzie, że ich wychowanek wyszedł bez szwanku

z walki. Joe powtórzył im to ze sto razy, ale krew splamiła ręce jego, a w ich wyobrażeniu prostem i wolnem od fałszywych rozumowań, było to prawie zabójstwem. Nie mogli pojąć tych wszystkich pięknych rozróżnień i odcieni, jakiemi świat wyższy ubarwiać umie swój pogląd na rzeczy tego rodzaju. Walter Mowbray musiał wyczerpywać wszelki zapas argumentów, które przytaczał na obronę swego przyjaciela, aby choć cokolwiek przekonać Macieja Ashtona w tym względzie. Łatwiej było przejednać jego małżonkę. Skoro ujrzała swego pieszczocha, uścisnęła go z macierzyńską czułością i już mu przebaczyła, nim jeszcze mógł wyrzec prośbę o darowanie swej winy...

— Nie wątpię, że macie słuszność, — rzekł godny starzec do młodych przyjaciół, — ale nie umiem sobie jednak tego wytłumaczyć. Jestem może za głupi do tego. Wiem, że moja głowa bardzo twarda, ale serce nie jest złem, tak sądzę przynajmniej.

— I serce i głowa są dobre, drogi stryju! — zawołał synowiec, chwytając go za rękę i przyciskając czule do ust. — Moje przekonanie równie jak i twoje potępia zabójcze zajście, w którem i ja miałem udział; alem był do tego zmuszony. Zostałem wyśmiany, poniżony, znieważony przez syna tego człowieka, który cały byt swój zawdzięczał twojej hojności, przez syna Ryszarda Musgrove!...

— Syn Ryszarda Musgrove! — powtórzył kmieć z uczuciem goryczy, jakiego jeszcze nigdy w nim nie widziano. — To on cię zelżył? Tedy to pies niewdzięczny, bom był miłosierny dla tego człowieka!... Podaj nam rękę, Harry! Któżby to mógł był ścierpieć? Podaj nam rękę, przebaczam ci!

— A zresztą, ten Miran-Hafaz byłby zabił Henryka! — dodał Walter Mowbray, kiedy stryj i synowiec podawali sobie rękę na znak zgody.

— Czy istotnie? — zawołał stary. — W takim razie nie mogę mu nic zarzucić. Boże odpuść! jesteśmy grzeszne stworzenia... Boże odpuść! zaczynam prawie bredzić, jakbym się także uczył po grecku u plebana, — dodał ze złośliwem spojrzeniem na synowca.

Ponieważ zacny starzec wtedy tylko, gdy był w dobrym humorze czynił żartobliwe aluzye do nauk synowca, pobieranych u doktora Orine, ciężar spadł z serca naszemu bohaterowi. Widział teraz, że nastało pojednanie ze strony stryja. Pragnął ile możności wynagrodzić sędziwej parze niespokojność, jakiej doznali z jego powodu, i w tym celu odmówił namowom Waltera, aby z nim do Opactwa wrócił, choć miał wielką ochotę do tego.

— Widzisz Macieju, — rzekła matrona z uśmiechem, gdy młody squire ich pożegnał, by wrócić do zamku sam, — widzisz że Henry nas przecież lepiej kocha, mimo wszystkiego. Jam zawsze mówiła, że u niego serce jest na swojem miejscu!

— Nie wątpiłem nigdy o tem, — odparł mąż jej, — pomimo że się uczył po grecku.

XXVIII.

Następnego poranku Maciej Ashton i jego żona niespodziewanie zdziwieni zostali odwiedzinami siostrzenicy baroneta, która w towarzystwie Waltera i Henryka, przyjechała na folwark odkrytym powozem, umyślnie dla jej użytku z Londynu sprowadzonym. Starzec przyjął ją z tym poważnym spokojem sobie właściwym; ta wizyta ani go zmięszała, ani też dumie jego pochlebiała. Powitał ją serdecznie, tak przez wzgląd dla niej samej, jak i przez uszanowanie dla rodziny, u której przodkowie jego przez tyle lat dzierżawę trzymali. Nazwisko Ashton było istotnie najdawniej wpisane w księgach dominikalnych zamożnego baroneta.

Inaczej rzecz się miała ze staruszką, więcej wylaną w okazaniu swych uczuć. Jakkolwiek zachwycona była odwiedzinami młodej dziedziczki, żałowała jednak, że ją o nich nie uprzedzono, aby mogła kazać rozpalić ogień na kominku w bawialni, postawić na stole dzban srebrny zamiast tego szkaradnego z ciemnej gliny, który jej mężowi tak był ulubiony, i wdziać suknię brokatową, w kwiaty przerabianą, która służyła tylko na wielkie uroczystości, zamiast skromnej spódnicy z domowego płótna.

Ale miłe i niewymuszone ułożenie Elleny uspokoiło wkrótce stryjenkę jej kochanka, i nim odjechała młoda panienka, obejście jej względem Henryka wyrugowało z myśli staruszki dzban srebrny i suknię galową, dając nowy kierunek jej spostrzeżeniom.

— Kochana stryjenko! rzekł jej synowiec, — Ellena... chciałem powiedzieć miss Vere, pragnęłaby zabaczyć twoją mleczarnię.

— Nazywaj mię Elleną, Henry, rzekła mu z uśmiechem panienka, powstając by pójść za sędziwą matroną, której żądanie Elleny bardzo pochlebiało. — Wiesz dobrze, iż nie lubię, aby mnie inaczej nazywał wuj, Walter i ty.

Starzy Ashtonowie spojrzeli po sobie wzajemnie. Dzierżawca zachmurzył czoło nie mogąc pojąć, zkąd wzięła się taka poufałość między jego synowcem a siostrzenicą sir Williama Mowbray. Oblicze żony jego, przeciwnie, rozpromieniało radością. W jej oczach, Harry godny był miłości wszystkich kobiet.

Nie tylko mleczarnię, ale i kurniki zwiedziła Ellena. Skosztowała nawet wina w domu robionego i zachwalała je. Nigdy mistress Ashton nie doznała większego zadowolenia. — Musicie mnie odwiedzić w zamku, — rzekła miss Vere, ściskając ręce obojga staruszków, którzy odprowadzali ją do drzwi kwiatowego ogródka, przed domem założonego, gdzie czekał pojazd. — Mój wuj ucieszy się waszem przybyciem, pewna jestem.

Maciej Ashton ukłonił się w milczeniu, a jego żona przemówiła słów kilka, które turkot kół zagłuszył.

Przez kilka minut małżonkowie stali we drzwiach, patrząc za wytwornym pojazdem, który się szybko oddalał. Gospodarz nie umiał sobie wytłumaczyć tego co widział i słyszał przed chwilą, i zachowania poufałego, nawet czułego ze strony młodej dziedziczki. Żona jego z westchnieniem swej płci właściwem, pierwsza to zrozumiała.

— Macieju! — przemówiła, — gdyby to nastąpić miało!

— Co takiego? — zapytał mąż lękając się, aby jej odpowiedź nie potwierdziła podejrzeń, które zaczynały myśl jego niepokoić.

— Wiesz dobrze, co chcę powiedzieć.

— Czy doprawdy?

— Czyż cała wieś nie mówi o dobroci, jaką sir William okazuje Henrykowi? Czyliż codzień nie odbywa wycieczek konno i pieszo z jego siostrzenicą? czy go nie nazywała Henry, a on ją wołał Elleną? Czyliż nie rozjaśniało się oblicze jego, kiedy do niego mówiła, spuszczając skromnie swe śliczne oczy pod jego spojrzeniem?...

— Kobieto, wstydzę się za ciebie! — odparł starzec, potrząsając głową. — Gdybym myślał, że Henry mógłby być szaleńcem do tego stopnia, to... ale nie, to być nie może... Tylko babska wyobraźnia wszędzie widzi miłość i tym podobne bzdurstwa...

— Bzdurstwa! nie widzę w tem nic niedorzecznego, żeby się kochano w naszym Henryku; on jest równie urodziwy, jak dobry i zacny chłopiec!

— Ale widzę w tem niedorzeczność! Miłość między nim a miss Vere bardzo źle skończyćby się mogła. Cóżby na to powiedział jej wuj? Gdybym rzeczywiście coś podobnego przypuszczał, przyszedłbym niezwłocznie do sir Williama, aby mu powiedzieć moje zdanie.

Przecież nie chciałbyś popsuć chłopcu szczęśliwego losu?

— Starałbym się zachować go uczciwym człowiekiem.

— Serce byś mu zakrwawił, spowodowałbyś go, żeby do Indyi wyjechał!

— To lepiej byłoby dla niego, niż... Ale szalona jesteś z twemi bredniami, a ja jeszcze większy głupiec, że cię słucham. To wszystko dziecińctwo, pewny jestem... choć może roztropniej byłoby koniec temu położyć.

To powiedziawszy, poczciwy rolnik, wziął rydel na ramię i udał się w pole, gdzie miał doglądać niektórych robót. Żona patrzyła za nim czas jakiś, aż zniknął za szeregiem wierzb z poobcinanemi wierzchołkami, zasadzonych wzdłuż drogi, do dworku wiodącej.

— Nie gwiżdże, rzekła sama do siebie, — ma jakąś myśl ważną w głowie; nie zdziwiłabym się wcale, gdyby jeszcze los biednemu dziecku zagrodził. Czemużem nie milczała? Bo jak Maciej raz sobie wyobrazi że ma słuszność, nie ma sposobu odwieźć go od powziętego przekonania, taki ma upór jak sam Harry!

XXIX.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy wizyta Elleny w towarzystwie jej kuzyna i naszego bohatera tak mocno zadziwiła starego dzierżawcę, i obudziła dumne nadzieje dla Henryka w sercu jego sędziwej małżonki, sir William Mowbray wezwał za sobą młodzieńca Ashtona do biblioteki. Otrzymał właśnie pożądaną odpowiedź od ministra, dawnego przyjaciela swego, którego prosił o posadę przy poselstwie przy jednem z dworów włoskich dla swego młodego ulubieńca.

Wyjazdu jego życzył sobie dla kilku powodów, i pragnął go na czas jakiś usunąć z Anglii: najprzód dla tego, że miał to przekonanie, po tem wszystkiem co o charakterze Miran-Hafaza słyszał, że kłótnia obu rywalów nie skończy się na odbytym pojedynku. Henryk zadał dumie Indyanina cios okrutny, do najwyższego stopnia obudził w nim nienawiść i zazdrość, upokorzył go w obliczu ukochanej, wystawił na śmiech i szyderstwa jego przyjaciół. Nie można było przypuszczać, aby mu to Miran przebaczył.

Prócz tego, potrzeba tego rozstania była niezbędna z powodu Elleny, nie dla tego, aby w czemkolwiek zmienił swe zamiary co do przyszłości obojga zakochanych, owszem, zalety które coraz więcej upatrywał w postępowaniu młodego Ashtona, utwierdzały baroneta w powziętem postanowieniu połączenia kiedyś tych dzieci; ale udręczenia, jakich doznała młoda dziewczyna w czasie pojedynku dowiodły mu, że jej miłość była głęboko wkorzenionem uczuciem, wplecionem w jej serce tak silnie, że stało się warunkiem jej życia. Nie tracił również nadziei, że wytrwała energia młodzieńca może go naprowadzić na jaki ślad utraconego dziecięcia, którego nie przestał opłakiwać.

Jak tylko usiedli w komnacie, gdzie nieszczęśliwy właściciel Carrowa tyle gorzkich przepędził godzin, sir William wydobył z pomiędzy stosu listów pismo swego przyjaciela, lorda Melville, i podał je młodzieńcowi. Podczas gdy Henryk zajął się czytaniem, baronet z szczególnem zajęciem przypatrywał się jego rysom, nie żeby powątpiewał o jego dobrej chęci lub poświęceniu dla przedsięwzięcia, do którego się był zobowiązał, ale że mu się zdawało, jakby w tej twarzy coś dawniej znajomego odkrywał. Były to jakieś niejasne przypomnienia, które pamięć w chwilach samotności przywodzi na myśl, lecz które równie trudno określić, jak powstrzymać promyk słoneczny, a smutne przytem jak cień grobu, w którym nadzieje życia pogrzebano.

— Widzisz Henryku, żem nie zapomniał ani twych korzyści, ani mojego przyrzeczenia. Czas już abyś wyszedł z marzeń młodocianych, a zajął się rzeczywistością życia. Kto chce wyrobić sobie stanowisko w świecie, musi rozpocząć zawczasu, by zaszczytnie dotrzeć do celu zamierzonego. Rzadko się zdarza, aby los uśmiechnął się marzycielowi albo leniuchowi, odkładającemu na czas późniejszy pracę, mającą mu ten los zjednać. Posada, którą dla ciebie uzyskałem przy dworze neapolitańskim, nie jest połączona z żadnem wynagrodzeniem; nie chciałem żądać, nawet od najlepszego przyjaciela, urzędu, zapewniającego zyskowne dochody. Ale to mianowanie, udzielające ci stopień dyplomatyczny, będzie ci korzystnem w podróżach, zostawi ci dosyć wolnego czasu i poda niejakie ułatwienie w poszukiwaniu śladów mojego syna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LUDWIKA I HELENA.

Powieść.

Dźwięk zegara ogłosił pensyonarkom znakomitego klasztoru koniec nauk na ten dzień. Młode panienki, jak rój pszczół na wiosnę, sypały się szerokiemi drzwiami sali naukowej do obszernego ogrodu, jako do miejsca przeznaczonego na ich gonitwy i zabawy. Prócz zwykłej chęci wytchnienia i rozrywki po kilkagodzinnej pracy, wabiła je dziś jeszcze ciekawość.

Nowa pensyonarka oczekiwana od miesiąca, przyjechała przed godziną; była w ogrodzie, i w czasie rekreacyi znajomość zabrać miały z nią.

Ludwika S. takie było jej imię, odbywszy zwyczajne przedstawienie się przełożonej klasztoru i mistrzyni pensyonarek, przechadzała się po ogrodzie z ojcem czekając na przybycie towarzyszek; oczy jej łez pełne zwracały się na ojca, trzymała go za rękę i całowała ją z tkliwym wyrazem uszanowania; słuchała pilnie przestróg jego, przyjmowała z rozrzewnieniem ostatnie pieszczoty. „Pamiętaj, córko — mówił do niej — że jeżeli dotąd sam trudniłem się twojem wychowaniem, przychodzi wiek, w którym ręka kobiet musi nadać wdzięk i polor charakterowi i ułożeniu młodej panienki; jabym ci tylko cnót męzkich udzielić potrafił; trzeba, żebyś tu nabyła przymiotów niewieścich, kiedy los nieszczęśliwy pozbawił cię matki. Masz lat trzynaście, nie mogłem czekać dłużej; będziesz przez trzy lata w tym zacnym i zawołanym domu; potem wrócisz do mnie i będziesz póki cię poczciwemu mężowi nie oddam."

Ludwika ścisnęła rękę ojca w milczeniu, ale nie mogła wstrzymać głębokiego westchnienia, spojrzawszy na okna za kratą klasztorne i na wysokie mury ogród otaczające. Pamięć nieograniczonej prawie wolności, jakiej dotąd używała na wsi, przy ojcu i bracie, zajęła żywo jej umysł. — Pan S. nawykły czytać w sercu córki, odgadł jej wzruszenie: „Uspokój się — powiedział czule — zobaczysz, i tu życie twoje wyda ci się miłe, bo zajętą będziesz; ciekawe nauki, muzyka, rysunek, robótki płci twojej przyzwoite, napełnią użytecznie i przyjemnie dzień cały. Wreszcie, wszak ci to już nie raz mówiłem: nie dla zabawy i próżnowania Bóg nas stworzył; każdy wiek, każdy stan ma powinności i przykrości swoje, ale też każdy ma właściwe sobie korzyści i zasługi. Ucz się pilnie, korzystaj z udzielanych ci wiadomości, szanuj przełożonych; bądź dobra, grzeczna, uczynna dla towarzyszek swoich; a jeźli tylko będzie można, upatrz sobie między niemi przyjaciółkę; ten skarb osłodzi tobie wszystkie przykrości, podwoi słodycze, i nie tylko tu spędzone lata, ale całe życie twoje ozdobić potrafi; lecz bądź baczna w wyborze: strzeż się łudzących przymiotów, szukaj dobroci i rozsądku. — Ja tu co pół roku dojeżdżać nie omieszkam, i pewien jestem, że przyjdzie czas, kiedy dziękować mi będziesz za to, iż w tej chwili za nas oboje miałem męztwo i odwagę."

Ludwika rzuciła się w objęcia dobrego ojca; obraz przyjaciółki dzielącej prace jej, troski i zabawy, złagodził cokolwiek jej smutek; nie mając siostry od dawna pragnęła przyjaciółki; otarła przeto co prędzej łzy, a z dziecinną ciekawością obróciła się ku drzwiom głównym; już bowiem słychać było szmer zwiastujący zbliżenie się przyszłych jej towarzyszek, a wraz z niemi upragnionej przyjaciółki.

Pan S. przedstawił córkę pensyonarkom i nauczycielkom im towarzyszącym, a poleciwszy ją przyjaźni pierwszych, staraniom drugich, pocałował ją serdecznie i odszedł spiesznie, powiedziawszy jej pierwej na pół stłumionym głosem: „Nie płacz wszystko będzie dobrze."

Ludwika chciała koniecznie panować nad sobą i nie okazać żalu, jaki jej serce napełniał; przywiodła sobie na myśl męztwo Spartanek, o którem jej nieraz brat z uwielbieniem mówił; spróbowała więc uśmiechu; ale widząc oddalającego się ojca, słysząc trzask zawierających się za nim drzwi klasztornych, nie mogła wytrzymać; żal dusić ją zaczął, nie opierała mu się i łzy gorące i obfite twarz jej zalały.

Młode panienki prawie wszystkie patrzyły na nią z bezwzględną ciekawością. Jedna z nauczycielek przystąpiła, wyrzekła słów kilka o powinnościach dzieci względem rodziców, o potrzebie ulegania ich woli zawsze życzliwej i roztropnej; a potem namawiając Ludwikę, żeby rozsądniejszą była, kazała jej bawić się z drugiemi.

Dwie śmielsze pensyonarki wzięły ją pod rękę i zaczęły oprowadzać po ogrodzie: niemal wszystkie poszły za niemi; pokazywały jej swoje ogródki i kwiaty, mówiły o grach różnych i chciały jednę z nich rozpocząć. Ale Ludwika nie bardzo sposobna do rozmów i gier w tej chwili, słuchała bez uwagi i należyć do niczego nie chciała. — Zbliżyła się z nieśmiałością do kilku starszych panienek, które udając poważne, usiadły pod drzewem i rozmawiały; w tem gronie dosyć uprzejmie ją przyjęto, jedna z nich nadzwyczaj żywa i dowcipna imieniem Eliza bawiła zwykle całą gromadkę; ta zajęła się szczególniej Ludwiką, a chcąc ją rozerwać zaczęła różne rzeczy mówić przypięła łatkę każdej nieobecnej pensyonarce, niby je opisując nowo

przybyłej; toż uczyniła z nauczycielkami, i z samą nawet mistrzynią; niektóre z tych osób wydrzeźniała i udawała tak wybornie, że śmiech wzbudziła powszechny. I Ludwika zapomniawszy łez pomagała do śmiechu, i mówiła w sobie: „Jakby mi dobrze było taką mieć przyjaciółkę, nigdybym smutku nie znała." Niedługo jednak sprzykrzyła jej się ta zabawa, uczuła jakiś niesmak wewnętrzny i powiedziała w sobie: „Nie, ta przyjaciółką moją nie będzie."

Między panienkami, które dowcipnie i śmiesznie, ale bez litości obmawiała Eliza, może najczęściej dotykała dziewczynkę miłej postaci, ale bardzo nieśmiałą, na boku samotnie siedzącą. „Oto sensatka, przemądra, dzikus, mruk" — mówiła na nią, wskazując ją Ludwice. — „Jak jej na imię?" spytała się tamta. — „Helena." — „Cóż za jedna?" — Uboga sierota!" i śmiać się zaczęła z jej ubogiego ubrania, z jej ochrony i oszczędności. — Bardzo się to nie podobało Ludwice i odstręczyło do reszty od Elizy, a natomiast skłoniło ku Helenie. Zaczęła ją uważać pilnie, lecz w rzeczy samej dziką ją także być uznała, gdyż wcale nie bawiła się ze wszystkiemi. — Nazajutrz w godzinach rozrywki zobaczyła znowu Helenę siedzącą samą pod drzewem; plotła sobie wieniec z bławatków; niedaleko niej jedna z najmłodszych pensyonarek zakładała sobie ogródek i grodziła go patyczkami, a Helena odpowiadała z łagodnością na częste jej pytania. — Wczorajsze towarzyszki Ludwiki już z nią prawie obznajomione chodziły wszerz i wzdłuż ulic przechodząc koło drzewa; Ludwika z zadziwieniem dostrzegła, iż jedna z nich przechodząc zawsze coś zepsuć musiała w ogródku małej dziewczynki, a Helena z niezmęczoną cierpliwością zawsze naprawiała szkodę; nareszcie złośliwa towarzyszka z umysłu obiema nogami wstąpiła w ogródek i zepsuła go zupełnie; dziewczynka rozpłakała się na głos, Ludwika stanęła, a towarzyszki jej zwłaszcza Eliza śmiać się zaczęły. Wtedy Helena przybiegła i uspokoiwszy dziecię datkiem wieńca z bławatków, przedstawiła z żywością panienkom: „Jak to niepięknie i niegodnie sprzeciwiać się młodszym," i odeszła wraz z maleńką. — Dziewczęta odpowiedziały jej przycinkami i żartami, ale Ludwika, którą oburzyło bardzo ich postępowanie, pochwaliła obejście się Heleny; a rzucając nierozsądne towarzyszki pobiegła jej szukać, chcąc w tem pierwszem wzruszeniu ofiarować jej serce swoje i jej serca żądać w zamian. — Ale w całym ogrodzie już nie było Heleny; poszła do pokojów, chcąc zapewne nową jaką zabawką strapioną dziewczynkę pocieszyć.

Odtąd Ludwika miała nieraz ochotę zbliżenia się do Heleny, ale to jej z trudnością przychodziło. Helena choć mało co starsza, wysoko już się posunęła w naukach. Była zatem w innej klasie, sypiała w innym pokoju, jadała u innego stołu; prócz tego, sierota, uboga, przeznaczona na pozostanie na zawsze w tym domu wychowania; z rozsądku i z gustu stroniła od zabaw i ludzi; wszyscy, same nawet mistrzynie i nauczycielki brały to jej postępowanie za skutek jakiejś ostrości charakteru i oziębłości serca. Helena tymczasem była słodka, łagodna, uczynna i tkliwa, lecz nikt dotąd na niej się nie poznał; bez rodziców, bez krewnych, zupełnie na łasce zakonnic będąca, wyłącznie żadnej z nich nie oddana, nigdy przez nikogo ośmielaną, zachęcaną nie była, nigdy jej nikt prawdziwie nie kochał; a młode serce żeby wydać się mogło, potrzebuje koniecznie czuć i wzbudzić życzliwość i przywiązanie. — Atoli Helena była wysoko szacowana w całym domu; pierwsza w dopełnieniu zadanych prac, opiekunka młodszych i słabszych, zawsze prawdę mówiąca, daleka od plotek, psot, szeptów; dawano ją drugim za przykład, i przezto samo nie jedna z jej towarzyszek jej nie lubiła. — Ludwika podobała jej się na pierwsze wejrzenie; już w tej chwili, kiedy z ojcem żegnała się, tak czule ujęła była jej serce: „Ona kochać umie — pomyślała sobie wtedy — szczęśliwa, ma kogo kochać! może też przyjaciółkę w niej znajdę." Ale widząc zaraz potem Ludwikę śmiejącą się i żartującą z innemi, a jak miarkowała z niej samej, zamknęła przed nią serce swoje, i równie od niej, jak od innych stroniła.

Byłyby zapewne tak zeszły te trzy lata, które Ludwika przepędzić miała w klasztorze, i byłaby może z niego wyszła bez przyjaciółki, gdyż żadna z panienek jej serca nie skłaniała, gdyby nie okoliczność następująca: Już czwarty miesiąc upływał od dnia, jak Ludwika opuściła dom ojcowski; jeszcze bardzo za nim tęskniła i nie wiele przykładała się do nauk, kiedy jednego poranku, w czasie klas, jedna pensyonarka zaczęła użalać się głośno, jakoby jej zginął bardzo piękny ołówek, który wczoraj od

ciotki dostała. „Włożyłam go — tak mówiła — w książkę rysunkową spać idąc, dziś zastałam książkę otwartą, a ołówek przepadł.” — Wielkie powstało w klasach zamięszanie; wszystkie pensyonarki broniły się z zapałem, jedne płakały, drugie posądzały się wzajemnie. Mistrzyni rozkazała wszystkim pójść do ogrodu i tam czekać chwili powołania; oświadczywszy, że tym czasem przegląd szufladek nastąpi. — Rozkaz i słowa mistrzyni zdawało się, że zaspokoiły wszystkich; wszystkie panienki wstały, jedna tylko Helena zarumieniła się, i chciała coś wyjąć nieznacznie ze swojej szufladki. Dostrzegła to mistrzyni i powtórzyła rozkaz wyjścia natychmiast.

Helena usłuchała, lecz niechętnie, i wyszła wraz z drugiemi oglądając się. — Gdy już wszystkie zebrały się na głównym trawniku ogrodowym, ułożyło się kilka gromadek osobnych, w każdej rozmawiano z żywością o zaszłym wypadku, a wnet wszystkie prawie oczy i domysły zwróciły się ku Helenie, która rozmawiając na boku z jedną z uczennic, miała wyraz niespokojności na twarzy. — Te panienki, co rade były każdej sposobności upokorzenia biednej sieroty, a jak ją zwały przemądrej, zaczęły głośno mówić o niej jak najgorzej. — Wspaniała dusza Ludwiki oburzyła się na tę złość; wiedziała, że pochwały dawane Helenie przez nauczycielki ściągnęły jej nienawiść tych pensyonarek, które wyższe od niej urodzeniem i majątkiem, pełne próżności, sądziły, że wszystkie pochwały i pierwszeństwa im wyłącznie się należą. Mówiły więc bez ogródki: „Trzeba domagać się koniecznie wypędzenia tej dziewczyny, zakałem jest całej pensyi. Już dosyć długo cierpiałyśmy w naszem gronie ten wstyd.” Na próżno Ludwika wznosiła głos swój za obwinioną, powstały i na nią; dobiegła wtedy Ludwika do Heleny, a biorąc z żywością jej rękę: „Wszak prawda — powiedziała z zapałem — żeś ty niewinna! Powiedz im to sama, bo one takie niegodziwe, wierzyć mnie nie chcą!...” — „O Boże! Boże! — zawołała Helena przelękniona, czyżbym posądzoną była?” — „One — odpowiedziała Ludwika wskazując na towarzyszki, — one cię obwiniają, ale ja ręczę za ciebie, jak za siebie samą. Nie płacz Heleno — mówiła dalej, widząc twarz sieroty zalaną łzami — nie płacz, ja ciebie przeciw ich złości obronię.” A to mówiąc ściskała czule drżącą dziewczynę.

Tymczasem, przełożona zakonu uwiadomiona o tem całem zdarzeniu, zeszła sama do ogrodu, ażeby skarg wysłuchać i osądzić winną. Grono obwiniające cisnęło się naprzeciw niej. Widząc to Ludwika porwała Helenę za rękę, a ciągnąc ją za sobą klękła przed przełożoną: „Pani! — wymówiła z uczuciem — nie potępiaj jej, póki mnie nie wysłuchasz. Nie ma żadnego dowodu przeciw niej, a mimo tego one wszystkie chcą ją mieć za występną, ją, najgodniejszą szacunku, najlepszą z nas wszystkich... Niech odstąpią wszystkie, które jej dobroci i uczynności doznały, a zapewne nie będzie komu oskarżać i posądzać.”

„Uspokójcie się, dzieci moje — powiedziała przełożona z łagodną powagą. — Każdemu sprawiedliwość wymierzę. Poszukiwania czynione w tej chwili oświecą mnie, którabądź z was okaże się winną, bezecny jej postępek dla honoru zakładu utajonym będzie, ale ona karę odbierze. Pierwej zaś mam sobie za obowiązek oświadczyć tu przed wami, iż nie mam na Helenę żadnego posądzenia, zawsze dobre miewa świadectwa, żadne kłamstwo nie pokazało się nigdy na niej, niepodobna więc, zdaniem mojem, aby się dopuściła takowej podłości... Wyznać atoli muszę, iż dała niejaki powód do posądzenia siebie, gdyż nie usłuchała od razu mistrzyni. Dla czego, kochanko — dodała obracając się ku Helenie — zmieszałaś się na rozkaz przejrzenia szuflad? dla czego chciałaś coś dobyć ze swojej?”

Helena spuściła oczy, łzy jej płynęły obficie, nie mogła odpowiedzieć. Ludwika była na mękach, bo widziała złośliwe uśmiechy w około; w tej chwili mistrzyni pokazała się we drzwiach głównych; ręka jej trzymała w górze ołówek złoty, przedmiot całej sprawy. Zbliżyła się z pospiechem do właścicielki jego, mówiąc z żywością: „Na drugi raz bądź uważniejsza, a zwłaszcza nie tak skora do posądzania towarzyszek. Ołówek był w twojej własnej szufladzie, w piórniku. — A ty dobra Heleno — dodała mile — kiedy odrabiasz zadanie leniwej towarzyszki, nie zatrzymuj jej zeszytu u siebie; chciałaś ukryć przed wszystkiemi dobroć i uczynność twoją, a ta chęć szlachetna mnie samej stała się powodem do posądzenia cię.” — „Także to było? — przerwała rozrzewniona przełożona — kochane zacne dziecię!” I pocałowała Helenę w czoło.

„Tak było, nie inaczej — powiedziała owa panienka, z którą Helena rozmawiała po cichu na początku tej sceny — chcąc mnie wstydu oszczędzić, sama naraziła się na posądzenie."

„A cóż? — zawołała radośnie Ludwika — czyż nie mówiłam, że ona z nas wszystkich najlepsza? Podnieś głowę, Heleno; bądź odtąd najdumniejsza, najweselsza z nas wszystkich. Jam cię nie posądziła ani na chwilę, i kochana przełożona nasza oddała ci sprawiedliwość."

Przełożona uściskała serdecznie Helenę i Ludwikę, pochwaliła publicznie dobre serce jednej i wspaniałość drugiej, zganiła surowo posądzające skwapliwie; naznaczyła karę winniejszym i zaleciła baczność i pobłażanie na dal. I zganione i ukarane upokorzyły się szczerze i obiecały poprawę.

To zdarzenie związało na zawsze szlachetne serca Ludwiki i Heleny; najsłodsza, najrzetelniejsza przyjaźń, bo na szacunku, wdzięczności i zgodności uczuć oparta, powstała między niemi; i w krótkim czasie okazały się korzystne jej owoce. Ludwika polubiła jednostajne i zamknięte życie pensyonarskie; uczyła się pilnie, nawet z zapałem, ażeby jak najprędzej doścignąć Heleny, i być w jednej klasie z nią; już nie tyle tęskniła za ojcowskim domem. Helena zaś zapomniała prawie zupełnie o sieroctwie i o ubóstwie swojem; znalazłszy przyjaciółkę, opiekunkę, w czułej, w bogatej Ludwice nie była już opuszczoną, ani pogardzaną; zaczęła upatrywać wdzięk w życiu, w przyszłości swojej, zaczęła należeć do wszystkich zabaw; twarz jej, cała postać swobodną, wesołą barwę przybrały. — Ten związek miał równyż wpływ na dalsze życie dwóch tych panienek. Gdy trzy lata naznaczone przez ojca Ludwiki minęły, ulegając chętnie prośbom córki Pan S. wziął Helenę do siebie, los jej zapewnił i w jednym dniu co Ludwikę wydał za mąż. Żyły ciągle nierozdzielne sercem, przypisując sobie wzajemnie przymioty i zalety, które je zdobiły.

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

Recepta
na balzamiczny uzdrawiający plaster.

Należy wziąść:

1) Oliwy czystej 1 funt, wlać ją w miedziany wybielony rądel i rozgrzać ją tak, aby dobrze zawrzała i nieco wyparowała, mięszając drewnianą łopatką.

2) Mydła weneckiego białego (Sapo medicatus) ⅓ funta, cienko nakrajanego, i to po trosze w oliwę wsypywać, a nigdy nie razem, aby nie kipiało w czasie gotowania i burzenia się. Należy przytem nieustannie mięszać i na wolnym ogniu tak długo trzymać, aż pływająca białość zaginie; potem:

3) Bleywasu Weneckiego ⅓ funta;

4) Minii ⅓ funta: oboje przez sito przesiane, znowu po trosze wsypywać i nieustannie mięszać, by się to wszystko na dnie rądla nie osiadło. Przy wolnym ogniu, gdy ta wrząca materya kolor swój zmieni i będzie szarawa, tedy mając szklankę zimną przygotowaną na uboczu, wpuszczać w nią krople z łopatki, aby się przekonać o ugotowaniu, czy już jest miernie twardym, jak plastry bywają; potem odstawić od ognia i wsypać.

5) Castoreum 1 uncyę, drobno startego i

6) Kamfory 2 uncye, również startej, a dobrze zamięszawszy, powlewać we formy.

Uwaga: Przy gotowaniu łatwo się zdarzyć może, iż plaster tak stwardnie, że go trudno rozetrzeć; w takim razie, przydawszy mu oliwy, na nowo rozsmażyć i umięszać trzeba; a gdy już gotować się przestanie, dodać mu tyleż, jak powyżej, kamfory, bo pierwsza z parą uleciała.

Plaster ten smaruje się na irsze, tak, żeby przyłożony uchwycił się jeszcze zdrowego ciała, a nie odejmuje się, aż sam odpadnie. Nie przyczynia on boleści, owszem takową uśmierza: przecież dla przyspieszenia skutków trzeba herbaty rumiankowej popijać po dwa razy dziennie.

Przy użyciu tego plastru nie potrzeba przestrzegać surowej dyety, lecz jednak wstrzymywać się od wszelkich kwaśnych, surowych, ostrych, słonych, za tłustych, ciężkich i aromatycznych pokarmów a szczególniej od rozpalających napojów. Dla zasilenia się tylko cielęcina, gołąbki i dziczyzna służyć ma, a mianowicie kaczki wolno gotowane. A za napój tylko służyć ma herbata rumiankowa i woda z chlebowych grzanków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)